

Pusta scena ze skromnym elementem plastycznym w tle (słuchającym nota bene za sceniczne „zaplecze”, zza którego wyłaniają się bohaterzy akcji) — scenograficzny obraz Władysława Wigury. A na scenie Don Juan. W podwójnym wydaniu. Don Juan i Sganarel — w stroju identycznym niemal jak jego pan — wiodą słowną utarczkę, momentami przechodzącą w kłótnię. Pomysł ten: „habilitacji” Sganarela, przydania mu niejako funkcji sumienia Don Juana, jego sobowtóra czy wręcz alter ego — wydaje się najciekawszy w nowohuckiej inscenizacji molierowskiej arcykomedii. W reżyserii — jak podaje program — zespołowej, co może być w równej mierze unikiem artystycznym, jak np. „taktycznym”. Lub zgoła... finansowym.

Toczący się przy tym ustawieniu głównych bohaterów ich sceniczny dialog z przekomarzania się pana i slugi urasta poniekąd do rangi ideowo-filozoficznego dyskursu. A że z kolei dialog ten prowadzony jest lekko, w iście francuskim tempie scenicznym, że plastycznie same postaci nie mają w sobie wiele z XVII-wiecznej stylizacji, są w odczuciu widza współczesnymi młodymi ludźmi, zachowującymi się z pełnią swobody, może nawet nonszalaneci — uwarunkowanej także do pewnego stopnia faktem pozbawienia sceny jakichkolwiek sprzętów i rekwizytów (siadanie na ziemi, rzucanie na nią okryć) — nie ma w owej, nie pozbawionej głębszych treści rozmowie nic z mentorstwa i nudy. Pogodna, młodzieńcza, przynajmniej wymiana zdań.

Młodość to chyba najwłaściwsze zresztą określenie dla całej nowohuckiej inscenizacji „Don Juana”. Odczuwa się w samym spektaklu

Krystyna Zbijewska

Nowohucki „Don Juan”

coś w rodzaju świeżości, spontaniczności i wspólnej zabawy. Przynosi to — obok bezpośredniości w odbiorze — także pewną nierówność i niekonsekwencje przedstawienia. Choćby rozdźwięk między jego obu częściami. Rozdźwięk, który może być zresztą zamierzony, co byłoby z pewnością bardzo interesujące, gdyby — wyraźnie wypunktowane — było jednoznaczne. Tak nie jest.

Ale myślę, że dla przeciętnego widza nie to, nie sama forma inscenizacyjna jest najważniejsza w nowohuckim „Don Juanie”. Najistotniejsza jest sprawa docierania doń — właśnie może dzięki owej współczesnej inscenizacji — treści, myśli molierowskiej sztuki. A treści to ważne i mimo komediowych ram — dość bolesne. A myśli to żywe i jakże, dziś także, aktualne.

Czyż bawidamek z hiszpańskiej legendy, goniący za radosnym życiem, typowy „niebieski ptak” nie może znaleźć pewnego odniesienia w sytuacji dzisiejszej młodzieży? I tej „złotej”, szukającej łatwego życia i użycia, nie szanującej niczego i nikogo (jakże znamienne może zabrzmieć — właśnie tu, w Nowej Hucie — rozmowa syna z „niepotrzebnym” starym ojcem). I tej zburzonej młodzieży, gniewnej, która poprzez różne, niekiedy szokujące manifestacje, stara się przeciwstawić starym przesądom, ugłaskanej moralności, kołtuńskim drobnomieszcząnskim poglądom? Bo Don Juan

Moliera, szczególnie w dwupostaciowym ujęciu nowohuckim, to człowiek, który nie chce przywdziewać maski, który jest, jaki jest — ze wszystkimi swymi wadami i zaletami (odwaga!). A gdy przywdziewa maskę, gdy zaczyna „grać”, przekazuje nam swe głębokie wyznanie wiary na temat obłudy, dwulicowości niszczącej świat. Także dzisiejszy świat.

„Obłuda jest dziś bardzo w modzie, każde zaś modne szelmstwo można wziąć za cnotę... obłuda jest szelmstwem uprzywilejowanym, które własną ręką zamyka usta całemu światu i cieszy się w spokoju wszechpotężną bezkarnością” — mówi Don Juan.

Jeden z najśmielszych utworów Moliera, część wielkiego filozoficznego tryptyku (Świętoszek — Don Juan — Mizantrop) — na temat ludzkich postaw wobec świata i życia, nie zatracca „Don Juan” do dziś swych wiecznie żywych, humanistycznych treści. I choć cała sceneria jego życia i karu za to życie traci dzisiaj myszką (nowohuckie przedstawienie odstepuje zresztą świadomie od irracjonalnego finału sztuki) — słucha się molierowskiej komedii z zainteresowaniem nie tylko z pietyzmu dla wielkiej klasyki. I to jest chyba największy sukces nowohuckiego spektaklu.

Wyrównany aktorsko, nie przynosi on rewelacji. Może nawet wzbudzać pewien niedosyt. Don Juan —

Aleksander Bednarz — nie jest tym „wielkim” Don Juanem, jakiego oczekujemy na scenie. Jest nazbyt młodzieńczy, by nie rzec — fircykowaty, ale wdzięku mu nie brak i jednak potrafi zmusić widza do myślenia, do zastanowienia się. Ciekawie z nietatwego zadania scenicznego Sganarela wywiązał się Stefan Mienicki — nowy nabytek Teatru Ludowego (w ub. sezonie debiutował na jego scenie udaną rolą w „Powrocie z Elby”).

Z plejady postaci wysunęła się ponadto na plan pierwszy Elwira — Danuta Jamroz — z tym, że jej piękna, nieco posagowa, silnie dramatyczna interpretacja roli pasowałaby raczej do „Don Juanowego” przedstawienia „dawnego stylu”. Kilka komiecznych, z umiarem potraktowanych scen, zawdzięczamy m. in.: Mieczysławowi Franaszkowi (Pietrek), Maji Wiśniowskiej (Karolcia) i Fredzie Leniewicz (Marcyś), które ni stąd ni zowąd uraczyły nas także zabawną pantomimką, a również Lechowi Bijaldowi jako kupcowi Niedzieli.

W przedstawieniu biorą ponadto udział: Stanisław Michno (Guzman), Roman Marzec (Don Carlos), Leszek Świągół (Don Alonzo), Jan Krzywodziak (Don Luis), Tytus Wilski (Posąg Komandora), Zdzisław Kluczniak i Ryszard Mayor (stудy Don Juana), a także Edward Rączkowski (rola dublowana z Z. Kluczniakiem) — w epizodycznej, a jakże ważnej (o przekoro i mądrości Moliera!) roli Zebraka. Tego prostego biedaka, który dumna postawą — odrzuceniem pieniędzy, oferowanych mu za słowne wyrzeczenie się swych ideałów — raz jeden potrafi ujawnić istotne wnętrze Don Juana. Ale tylko na chwilę...